



A. Kosel "Zabójca kwiatów"

Ebola

Wioska tonęła w kwiatach. Na jej skraju, gdzie ledwie widoczna, spękana od słonecznego żaru ścieżka dotykała pierwszych chałup, pojawiały się dzwonki, znacząc fioletowymi plamkami rudoburą ziemię. Tuż za nimi górowały maki, patrząc ciekawie nad ich głowami w stronę, skąd wiatr przywiewał pył i kurz. Dalej wąskim pasem kłębiły się splątane w gęsty dywan zawilce, lubiny i podbiały. Dołem stokrotki rozpychały się na przemian z przetacznikiem, a nad nimi dumne przeżyła się nawłóć. Ostatni bastion stanowiły malwy, prawie wparte w ściany pierwszych domostw, i już zaczynała się wieś.

Człowiek stojący na niewielkim wzniesieniu spoglądał na oplecione powojnikami domy, na wilce pyszniące się purpurą, na lgnące do nich hortensje i winobluszcz, tworzące ciężkie kotary zieleni poprzeplatanej różnobarwnymi kwiatami. Powoli obrócił głowę w prawo, a potem w lewo – ucięty kobierzec kwiatów wyraźnie znaczył granice wsi. Dalej wzrok napotykał jałową płaszczyznę, opadającą lekko ku północy. Stojący na wzgórzu przymknął oczy, dłonie splótł na piersi. Stał bez ruchu, tylko suchy, gorący wiatr szarpał poły jego długiej szaty. Po chwili mężczyzna otworzył oczy i zaczął niespiesznie schodzić do wsi.

Pierwsze dostrzegły go dzieci bawiące się przy drodze. Porzuciły swoje gry i bez lęku podbiegły do nieznanego. Czepiając się jego ciemnej szaty, zarzuciły go pytaniami. A kto on jest? A dlaczego przyszedł z tej strony? A czy wie, że mama ma podobną sukienkę? A dlaczego mężczyzna chodzi w sukni? A czy wie, że do targu zostały jeszcze cztery dni?

Nieznajomy, łagodnie się uśmiechając, próbował odpowiadać na wszystkie pytania naraz – że przyszedł z tamtej strony, bo tam akurat był, że to nie sukienka, tylko habit, że czasami mężczyźni takie noszą, i że nie ma pojęcia o targu. Cała grupka – przybysz z uczepionymi jego habitu dziećmi –przemieszczała się powoli ulicą, mijając ogródki otaczające każdy dom. Zaspokoiwszy w końcu ciekawość dzieciarni, mężczyzna zdołał wydobyć informację o gospodzie, gdzie można coś zjeść. Gromadka towarzyszyła mu jeszcze kilkadziesiąt kroków, po czym, wskazawszy spory budynek ocieniony magnoliami, wróciła do swoich spraw.

Budynek, pominąwszy rozmiar, nie wyróżniał się specjalnie niczym z wioskowej zabudowy. Solidny, drewniany dom, nieco wyższy od pozostałych z powodu pięterka, gdzie – jak domyślił się przybysz – mogły, chociaż nie musiały znajdować się pokoje dla gości. Spomiędzy wszędobylskich malw wyglądały na świat nisko umieszczone okna parteru. Wyżej, w cieniu magnolii, pięły się róże, których ciężkie kwiaty czepiały się okiennic. Przed samymi drzwiami straż pełniły wyprostowane do słońca bratki, ujęte w owalach klombów. Nieznajomy podszedł do drzwi, schylił się. Podniósł garść ziemi, przyjrzał się jej, roztarł w palcach i rozsypał. Stał przez chwilę zamyślony, potem otrząpał dłonie i nacisnął ciężką, żelazną klamkę.

Wnętrze gospody było przestronne i zadziwiająco jasne, biorąc pod uwagę fakt, że jedynym źródłem światła były nieduże, zastawione kwiatami okienka. Po lewej stronie królował potężny, dębowy szynkwias, częściowo zastawiony słojami, w których pływały marynowane mięsiska. Obok stało parę pustych kufli i doniczek z kwiatami. Zza lady wystawał fragment dębowej beczki z wielką, leżącą na wierzchu chochlą. Gospodarza nie było widać. Resztę wyposażenia stanowiło kilka poplamionych stołów z heblowanego drewna i parę ław, wytartych prawie do połysku przez siedzenia gości. W donicach rozstawionych pod ścianami rosły fikusy, draceny i filodendrony. Po belkach sklepienia pięły się bluszcze.

Przybysz podszedł do najbliższej ławy i przysiadł. Rozglądał się jeszcze, gdy za jego plecami skrzypnęła podłoga. Odwrócił się i zobaczył korpulentną postać wyłaniającą się zza niewidocznych do tej pory drzwiczek za kontuarem, teraz uchylonych. Karczmarz, czego można się było domyśleć po poplamionym fartuchu opinającym spory brzuch, mozolił się, wywlekając zza drzwi pokątny antałek.

- Witam - stęknął, próbując jednocześnie postawić beczułkę na ladzie - zaraz obsłużę, tylko muszę z tym...

- Pomogę - gość podniósł się z ławy i podszedł do gospodarza. Opasał antałek ramionami i jednym szarpnięciem umieścił go na kontuarze.

- Dziękuję - sapnął karczmarz. - Wszyscy przy kwiatkach o tej porze, nikogo do pomocy. Dopiero pod wieczór... Ale krzepę macie - dodał, patrząc na szczupłą sylwetkę gościa. - Kto by się spodziewał! Tylko... - podrapał się po głowie - ta sukienka...

- Habit - wyjaśnił tamten - jestem mnichem.

- Aaa...- zmarszczył czoło karczmarz - to niby od mniszka? Ale mniszka u nas mało, rośnie go trochę za...

- Nie od mniszka - gość obszedł kontuar - od klasztoru. Wszyscy tam takie noszą. Wiecie chyba, co to klasztor?

Mina gospodarza nie pozostawiała wątpliwości, że nie wie.

- Skoro tak mówicie... - powiedział ugodowo - bo u nas tylko baby tak chodzą. Mnie tam za jedno - dodał - tak tylko pytałem. Podać coś?

Mnich skinął głową i wrócił do ławy. Po chwili karczmarz postawił przed nim kufel piwa i sporą miskę z zimnym mięsem, a sam usiadł naprzeciwko.

- Nie będę przeszkadzał? - zapytał.

Gość pokręcił przecząco głową, zabierając się za jedzenie.

- Bo to czas taki, że wszyscy do targu się szykują. - Gospodarza nie trzeba było zachęcać do mówienia. - Tylko patrzeć, jak się kupcy zjadą. W zeszłym miesiącu piękne piwonie sprzedawałem. A chryzantemy jakie! A astry! A goździki! Teraz donic mi potrzeba. Jak przyjadą kupcy...

Podczas gdy mnich jadł, gospodarz opisywał ze szczegółami, kto jakie kwiaty sprzedawał, jakie wyhodował, a na jakie popyt był mniejszy. Przybysz skończył jeść, pociągnął spory łyk piwa i otarł usta.

- Astry, chryzantemy i piwonie powiadacie?

- Ba! Żebyście krokusy moje widzieli! Teraz takich ładnych nie mam, na ten targ nie zdążę. Ale za miesiąc, to... - Karczmarz cmoknął i z rozmarzeniem pokręcił głową.

- A one nie kwitną w różnych porach roku? - zdziwił się mnich.

- Jakich porach? - Wzruszył ramionami gospodarz. - Razem rosną. Tylko przypilnować je trzeba.

- No tak - pokiwał głową nieznajomy - wzruszać ziemię, plewić, podlewać...

Karczmarz wytrzeszczył oczy.

- Co robić? - zapytał.

Gość powtórzył.

- Nieeee...- skrzywił się gospodarz. - Przyznajcie się, coś mi się zdaje, że nie znacie się na kwiatach? Przy kwiatach - kontynuował - trzeba być. Pilnować je, znaczy, żeby rosły. Bo widzicie - rozkręcał się znowu - jak przy nich nie ma nikogo, to takie marniutkie wychodzą! A się posiedzi, popatrzy, przemówi czasami...

- Do kwiatów? - przerwał mu mnich.

- Pewnie! Do kwiatów mówić trzeba. A i dotyk lubią.

Karczmarz rozgadał się znowu. Gość słuchał, nie przerywając, popijał tylko piwo.

- Ale - zreflektował się w końcu gospodarz - bo już muszę do kwiatów lecieć. Przenocować byście pewnie chcieli? Mam ładny pokoik na górze, jak raz dla was. Widok na mój ogród! - dodał z dumą. - Tylko przyjdźcie pod wieczór, bo teraz to sami widzicie. A wieczorem to i ludzie się zejdą, pogadać dłużej można.

- Przejdę się po wsi. - Mnich podniósł się z ławy.

- Pewnie, pewnie - zerwał się karczmarz - jest u nas co oglądać.

Zabrał z ławy opróżnioną miskę i kufel, odniósł za kontuar, po czym zniknął za drzwiczkami.

*

Słońce stało jeszcze wysoko. Mnich głęboko odetchnął nasyconym zapachami kwiatów powietrzem, przez moment zastanawiał się, czy zaciągnąć kaptur na ogoloną głowę, w końcu jednak machnął ręką i wolnym krokiem ruszył pomiędzy domostwa. Niektóre domy otoczone były niskimi płotkami, spełniającymi rolę raczej dekoracyjną, a czasami jedyną granicą pomiędzy drogą a domem były grządki, wyróżniające się innym kolorem rosnących na nich kwiatów. Pomiędzy nimi krzątali się mieszkańcy wioski. Gdy przechodził, pozdrawiali go przyjaźnie, zachęcając do podziwiania ogrodów.

Mnich wdawał się w pogawędki, chwalił kwiaty, czasami o coś zapytał. Po krótkim czasie zorientował się, że próby skierowania rozmowy na cokolwiek innego niż kwiaty to strata czasu. Ludzie byli mili, chętni do rozmowy, ale tylko o kwiatach. Gdy próbował zmieniać temat, życzliwie go ignorowali i wracali do kwiatów.

Wioska nie była duża - po niedługim spacerze dotarł do jej skraju. Żywy dywan, który ją okalał, zaczynał tu rzednąć, pojawiły się płaty spieczonej ziemi, a powietrze stało się suche i gorące. Zawrócił, wkraczając z powrotem do wsi. Skierował się pomiędzy nie odwiedzone jeszcze domki; wszędzie widział to samo - czyste, schludne obejścia, kwiaty, obsypane kolorami krzewy i kręcących się pomiędzy nimi mieszkańców. Raz jeszcze dopadły go dzieci i próbowały zaciągnąć do domów, żeby pokazać najładniejsze kwiaty, tyle że każde ciągnęło w inną stronę. Z trudem wymówił się, obiecując, że odwiedzi każdego po kolei, ale później. Dwa razy musiał powtórzyć obietnicę, zanim go zostawiły i pobiegly dalej.

Mnich przysiadł na skraju drogi obok płonącej żółcią forsycji, oparł się o pień górującej nad nią magnolii i przymknął oczy, wsłuchany w brzęczenie owadów. Gdy je otworzył, słońce stało nisko nad

horyzontem, brzęczenie owadów znikło, panowała cisza. Rozprostował zdrętwiałe ramiona, uniósł głowę i znieruchomiał. Po drugiej stronie drogi, w ogródku naprzeciw, stał wśród kwiatów wysoki mężczyzna. Ciemne spodnie i czarna koszula kontrastowały z długimi, prawie białymi włosami. Mężczyzna w milczeniu wpatrywał się w mnicha. Po chwili odwrócił się i zniknął w domu. Przybysz wstał i przeszedł przez drogę. Wyciągnął przed siebie prawą dłoń, poruszył lekko palcami, jakby chciał czegoś dotknąć. Potem odwrócił się i ruszył, zamyślony, w stronę gospody.

Gdy wszedł, sala była prawie pełna. Ludzie siedzieli przy stołach, głośno rozprawiając. Na jego widok kilka kufli uniosło się zapraszająco – rozpoznał niektóre twarze widziane w ciągu dnia, pozostałych zapewne poinformował gospodarz. Dwóch mężczyzn kucało pod ścianą, przy potężnym kwitnącym filodendronie, i spierali o coś, grzebiąc w donicy.

Mnich przysiadł się do najbliższego stołu. Zaraz podsunęto mu pełny kufel. Ktoś poklepał go po ramieniu i zapytał, czy zwiedził już całą wioskę. Zanim zdążył odpowiedzieć, karczmarz postawił przed nim parującą miskę. Odpowiedzi chyba nikt nie oczekiwał, bo rozmowa przeniosła się natychmiast na kwiaty. Które dzisiaj komu jak rozkwitły, a wokół których trzeba jeszcze pochodzić. O mnichu zapomniano. Kiedy skończył jeść, podziękował i podszedł do innego stołu. Przywitano go równie serdecznie, od razu pojawił się gospodarz z nowym kuflem piwa, zapytano go o kwiaty. Czy widział, że niewiele dziś urosły? Nie? Jak to? Ktoś machnął ręką, że to nieprawda, i od razu rozpętała się zaciekle dyskusja. Przybysz posłuchał chwilę, po czym wstał i podszedł do karczmarza.

- Zmęczony trochę jestem – powiedział – chciałbym się położyć.

- Oczywiście – gospodarz z hukiem odstawił na ladę kilka pustych kufi – zaraz zawołam żonę. Bo ja sam... widzicie, jaki ruch. Poczekaście chwilkę. – Zniknął w drzwiach za kontuarem.

- Już idzie – powiedział, wyłaniając się prawie natychmiast – to ja was w tym czasie zaprowadzę na górę.

Pokoik był nieduży, skromnie umeblowany. Proste łóżko, jedno krzesło i nieduży stolik. Z otwartego na oścież okna płynął zapach maciejki i wiciokrzewów.

- Spójrzcie – gospodarz wyjrzał przez nie i pokazał na dół – mój ogród! Prawda, jaki piękny? Zawilce wśród róż to moje dzieło! – dodał z dumą.

Jakiś czas trwało, zanim mnichowi udało się przerwać potok mowy karczmarza. Zapewniając go, że piękniejszego ogrodu nie widział w życiu, gość delikatnie wymanewrował gospodarza za drzwi.

Przez cały następny dzień nie wychodził z pokoju. Dopiero tuż przed wieczorem, zanim mieszkańcy zapełnili gospodę, pojawił się na dole. Grzecznie wymówił się od poczęstunku, tłumacząc to postem.

Odmówił też naparu z pierwiosnka, czym nieco zdziwił gospodarza.

- Bo jak ja miałem post – mówił tamten – to tylko pierwiosnek. Albo rdest, też pomaga.

Mnich wyjaśnił, że i przy poście, i przy biegunce się co prawda nie je, ale to jednak nie to samo. Gdy wyszedł z gospody, mieszkańcy zaczęli powoli do niej ściągać. Odpowiedział na kilka pozdrowień, zapewnił, że zaraz się zjawi z powrotem, musi tylko pospacerować.

Szybkim krokiem przemierzył wieś i stanął przed domem, gdzie poprzedniego dnia widział mężczyznę w czerni. W ogrodzie nie było nikogo, w oddali słychać było cichnące głosy ludzi spieszących do gospody. Mnich stanął przed drzwiami. Otworzyły się, zanim zdążył sięgnąć do kołatki. Mężczyzna był sporo wyższy od niego. Jasne włosy opadały mu miękko na ramiona.

- Wyjdźmy do ogrodu - zaproponował spokojnym głosem, zanim przybysz zdążył się odezwać.

W milczeniu okrążyli dom. Gospodarz uczynił zapraszający gest, wskazując drewnianą ławeczkę. Usiedli.

- Jesteś czarodziejem - powiedział po chwili mnich.

Tamten wzruszył ramionami.

- Jestem - potwierdził, patrząc na grządkę nagietek przed ławką - nietrudno się domyśleć.

- Mieszkańcy się nie domyślają.

- Oni? - parsknął mężczyzna. - Ich oprócz kwiatów niewiele interesuje.

- O nie - mnich pokręcił głową - ich poza kwiatami nic nie interesuje!

- Możliwe - czarodziej spojrzał na niego - no to mów, po co do mnie przyszedłeś.

Mnich poprawił się na ławce.

- Dziwna wieś. Pochodziłem sobie trochę i wiesz, co odkryłem?

- Wiem, ale pewnie i tak mi powiesz.

- Powiem. Po pierwsze: nie ma tu zwierząt. Nie ma bydła, psów, kotów. Nie ma nawet ptaków. Tylko owady. Domyślałem się, że do zapylania kwiatów.

- No, ja tego robił nie będę - posępnie powiedział czarodziej.

- Dalej - nie zwracał na niego uwagi mnich - wokół szczera pustynia, trochę kamieni, klimat wybitnie nieodpowiedni dla roślin. I nagle ta wioska pełna kwiatów. Nie ma tu nawet warzyw. I najważniejsze - uważnie się przyglądałem, sprawdzałem - tu nie ma wody.

Czarodziej milczał.

- To jak - zwrócił się do niego mnich - te kwiaty rosną? A rosną tak, że nigdzie na świecie takich nie znajdziesz. No i - dokończył - kwitną wszystkie w jednym czasie. Nie ma takiego miejsca, gdzie wszystkie gatunki kwitną jednocześnie.

- Właśnie na nie trafiłeś.

- I to mnie martwi. Bo to niezgodne z naturą.

- Za to ładne - powiedział czarodziej.

- To twoje dzieło - stwierdził mnich.

- Moje i tylko moje - z dumą odparł tamten. - Czy w związku z tym mógłbyś się w nie nie wtrącać?

Mnich westchnął i pokręcił przecząco głową.

- Nawet gdyby chodziło tylko o te kwiaty, nie mógłbym niczego obiecać. Ale są jeszcze ludzie. Powiedz - przeniósł wzrok na ogród - jak ich otumanieś, że nie widzą, co się tu dzieje?

- Akurat z ludźmi nic nie zrobiłem – czarodziej wstał i przeszedł kilka kroków, zatrzymując się wśród hiacyntów – zawsze tacy byli. Ja im tylko ułatwiłem życie.

- Nazywasz to życiem? – Mnich też się podniósł. – Przecież to bezmyślna wegetacja! Do tego bezbożna! Nie tylko kościoła tu nie ma, ale nawet kapliczki! Dobrze wiesz, że nie mogę tego tolerować.

Czarodziej schylił się i rozplątał dwie szczepione ze sobą łodyżki. Potem odwrócił do przybysza.

- Nie wiem, co możesz tolerować, ale chyba będziesz musiał – powiedział spokojnie.

- Zdejmij czar, uwolnij tych ludzi.

- Mówiłem ci, że nic im nie zrobiłem. A co do czaru – spojrzał na mnicha – nie mogę tego zrobić.

- Wobec tego ja to zrobię.

- Jak?

- W tej sytuacji jest chyba tylko jedno rozwiązanie – odpowiedział mnich. Miękkim ruchem nasunął na głowę kaptur, ramiona skrzyżował na piersiach.

Czarodziej płynnym, szybkim ruchem wyciągnął przed siebie obie dłonie. Powietrze wokół mnicha zafalowało i zgęstniało. Delikatne drżenie rozmyło kontur jego postaci, nad głową błysnęły iskierki, które, opadając, pociągnęły za sobą srebrne nitki cienkiej pajęczyny. Zapełgały przez chwilę w zetknięciu z ziemią i zgasły. Mnich znalazł się wewnątrz klatki uformowanej ze świetlistych linii. Powoli, z wysiłkiem, poruszył głową. Rozległ się delikatny brzęk, jak dźwięk szklanego dzwoneczka. Srebrne nitki pękły i opadły na ziemię. Poruszył głową jeszcze raz i czarodziej zgiął się wpół. Trzymając się za brzuch, opadł na kolana. Z ust pociekła mu krew.

- Dlaczego? – wyrzeźbił. – Przecież ja chciałem tylko...

Mnich lekko uniósł brodę i czarownik runął na twarz jak uderzony w kark niewidzialnym młotem. Jego lewa ręka wyciągnęła się bezwładnie wzdłuż ciała, płace prawej konwulsyjnie drapały ziemię. Gdy mnich podszedł i stanął nad nim, leżący z wysiłkiem obrócił ku niemu głowę.

- Zabójca... kwiatów... – wyrzucił z siebie. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale tylko zachłysnął się krwią, jego ciało wyprężyło się w ostatnim skurczu, po czym znieruchomiało.

Mnich wyciągnął nad nim dłonie i wyszeptał kilka słów. Leżące wśród hiacyntów zwłoki drgnęły, pojawiły się w nich pęknięcia. Początkowo nieduże, szybko się powiększały. Niezakrzepła jeszcze krew wylewała się z ciała, prawie natychmiast wsiąkając w ziemię. Tkanki rozpadały się w oczach, zmieniając się początkowo w niekształtne kawałki kości i mięsa, a potem rozlewając w lepkie kałuże, które w ślad za krwią znikwały w ziemi. Po chwili jedynym śladem zagłady czarodzieja były pogniecione kwiaty w miejscu, gdzie upadł. Mnich powoli ściągnął kaptur i rozejrzał się. Mimo zapadającego zmroku widać było, że otoczenie uległo zmianie. Kwiaty poszarzały i przywiedły, łodygi przygięły się do ziemi. Chłodny wiaterek poruszył winobluszczem, opadło kilka zwiędłych liści.

- Cóż – mruknął do siebie mnich – do rana będzie po wszystkim.

Obrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył do gospody.

*

Sala była pełna ludzi, którzy jak poprzedniego wieczora siedzieli na ławach, pili piwo, głośno rozprawiali. Mnich przysiadł niedaleko wejścia, przyjął z wdzięcznością kufel, który gospodarz przed nim postawił.

- A tego - zająknął się karczmarz - postu już nie macie? Może coś zjecie?
- Owszem - mnich przeciągnął się - byle dużo i dobre!
- Na jednej nodze podaję - twarz gospodarza rozjaśniła się - wysmienitą sarninę mamy dzisiaj!
- Czekaj! - złapał odchodzącego za fartuch - chcę cię o coś zapytać! Powiedz mi, skąd ty tę sarninę bierzesz?
- Jak to skąd? - oczy karczmarza rozszerzyły się w zdziwieniu - Z kuchni.
- Ale - mnich nie puszczał fartucha - skąd się w kuchni wzięła?
- Ze spiżarni przyniosłem. Nie frasujcie się, to dobre mięso, ręczę za nie!

Mnich zorientował się, że tak do niczego nie dojdą.

- No dobrze, przynieś.

Jadł powoli, popijając w zamyśleniu piwem, mimowolnie wsłuchując się w gwar rozmów. Dotyczyły oczywiście kwiatów oraz zbliżającego się targu. Był w połowie posiłku, gdy do jego świadomości dotarły wypowiedziane właśnie przy sąsiednim stole słowa: „zabójca kwiatów”. Zaraz potem rozległ się cichy śmiech. Ostrożnie odłożył łyżkę i odwrócił się. Trzech mężczyzn i kobieta, pochyleni nad stołem, rozmawiali półgłosem. Kobieta powtórzyła: „zabójca kwiatów” i cała czwórka znowu się roześmiała. Mnich przysłuchiwał się jeszcze przez chwilę, ale rozmowa wróciła do kwiatów. Szybko dokończył posiłek, i wymówiwszy się od zaproszeń, poszedł na górę. W pokoju wyjrzał przez okno. Było już zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć, ale sięgnął za parapet i zerwał kilka listków wszędobylskiego bluszczu. Pomiął je chwilę w dłoni, przysunął do nosa i powąchał. Potem odłożył na stół. Przed spoczynkiem uklęknął przy łóżku i długo, żarliwie się modlił. Położył się późno, gdy gwar gospody dawno już ucichł.

*

Obudził się, gdy promienie słońca zatańczyły na jego powiekach. Szeroko otworzył oczy, od razu rozbudzony, wstał i podszedł do okna. Wyjrzał na zewnątrz i zamarł. W wiosce nic się nie zmieniło. Kwiaty jak zwykle prężyły się do słońca, mieniły się wesoło kolorami, a zapracowane owady uwijały się dokoła. Kilkoro mieszkańców kręciło się w ogródkach, wymieniając głośne uwagi. Ciepłe powietrze przesycone było zapachami.

Wyciągnął rękę, zerwał liść bluszczu i przyjrzał mu się. Liść był zielony i świeży. Mnich wyrzucił go przez okno i zszedł po schodach.

Sala była pusta, widocznie gospodarz z żoną byli przy kwiatkach. Nie zawracając sobie głowy śniadaniem, mężczyzna wyszedł z gospody. Szedł powoli, rozglądając się uważnie. Parę razy przystanął, zamieniając kilka słów z którymś z mieszkańców. Dowiedział się, że wczorajszego wieczora gorzej rosły, niektóre nawet jakby kolory nieco straciły, ale dziś już jest dobrze. Rosną pięknie i do targu będą w sam raz. Mnich bez pośpiechu obszedł tym razem całą wioskę, starając się nie ominąć żadnego obejścia, żadnego ogrodu. Wszędzie witały go żywe kolory i upajające zapachy. Wszędzie kwiaty rosły, wspinały się, kłębiły przepychem kielichów, zwisających baldachimów i

zielenią pnączy. W końcu doszedł do domu, w którym mieszkał czarodziej, i stanął w ogrodzie. Nic tam nie świadczyło o wczorajszym wydarzeniu. Nie było opadłych liści, przywiedłych kwiatów. Ogród wyglądał tak samo jak pozostałe w wiosce – kwitnący, świeży i pachnący. Mnich zawrócił i podszedł do drzwi. Zapukał.

- Nikt tam nie mieszka – dobiegł go głos zza pleców. Obejrzał się.

Stojąca na drodze gruba kobieta mogła mieć około pięćdziesięciu lat, ubrana w kolorową suknię do ziemi, ciemne włosy upięła w kok.

- Nikt tam nie mieszka – powtórzyła. – Ale ty o tym wiesz, prawda?

Mnich nie odpowiedział od razu. Wyszedł na drogę i podszedł do kobiety. Miała miłą, zdradzającą skłonność do śmiechu twarz i zupełnie niepasujące do niej oczy – bez widocznych białek, jak dwa czarne lustra.

- Wiem o tym od wczoraj – odpowiedział, robiąc jeszcze jeden krok.

W tym momencie w głębi luster rozbłysły dwie złote iskierki, a mnich poczuł, jak jeżą mu się włoski na przedramionach.

- Lepiej nie podchodź za blisko – poradziła kobieta, lekko się uśmiechając. – Nie chciałabym skończyć jak Argeld.

- On się tak nazywał? – Ruchem głowy wskazał dom czarodzieja.

Kobieta wzruszył ramionami.

- Nie wiem, tak się kazał nazywać. Dziwne imiona sobie wymyślają czasami! – parsknęła krótkim śmiechem.

- Gdy dzisiaj wstałem – mnich też się uśmiechnął – byłem trochę zaskoczony. Usunąłem czarownika, a czar trwał. Rozumiem, przez jakiś czas, ale on nie był aż takim magiem, żeby jego iluzje przetrwały całą noc po jego śmierci.

- Był kiepskim czarodziejem – zgodziła się kobieta – a jego iluzje nie przetrwałyby dwóch godzin. Ale może nie stójmy tak na drodze? Coś ci pokażę.

Odwróciła się i ruszyła drogą. Mnich dołączył do niej, utrzymując bezpieczny dystans. Przeszli kilkadziesiąt kroków, gdy kobieta zatrzymała się.

- Widzisz? – zapytała, wskazując ogród.

W ogrodzie jeden z wieśniaków kucał przy niewielkim krzaku róży, szepcząc coś do niego i lekko muskając palcami liście.

- Widzę – skinął głową mnich.

Róża zadrzała. Łodyga wydłużyła się, listki zaczęły się rozwijać. Po chwili na jej szczycie rozkwitł olbrzymi, czerwony pąk. Twarz mężczyzny rozjaśniła się uśmiechem. Dotknął delikatnie płatków, powąchał kwiat.

- Tak wygląda szczęście – cicho powiedziała kobieta.

*

- Więc to nie Argeld - stwierdził mnich, kiedy ruszyli dalej.

- Ależ jak najbardziej on - powiedziała. - To właśnie była jego praca. Zanim się zjawiał, sama o wszystko dbałam. Nie mam pojęcia, po co przyszedł, nie pytałam go o to. I chociaż czarodziejem był - jak zauważyłeś - kiepskim, to do pilnowania kwiatów się nadawał. Znalazł tu spokój, a ja pomocnika. Niepotrzebnie go zabiłeś - dodała.

- Bronilem się.

- Nie chciał ci zrobić krzywdy - skreśli w prawo, gdzie kończyła się wieś - próbował cię tylko unieszkodliwić i odesłać stąd.

Mnich nie odpowiedział.

- I tak byś go zabił? - Spojrzała na niego z ukosa.

- Jeśli nie wyrzekłby się czarów, to tak.

Kobieta pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Jak miałyby się wyrzec? Przecież był czarodziejem! Czy ryba może wyrzec się wody?

- Ryba i woda to rzeczy naturalne - w głosie mnicha pojawiła się twardsza nuta - czary nie. Powinnaś o tym wiedzieć lepiej, skoro jesteś wiedźmą!

- Jestem - kobieta zupełnie się nie przejęła - ale jakoś nie czuję się nienaturalnie. No, może przy tobie - roześmiała się. - A ty? Tobie używanie czarów nie przeszkadza? Przecież nie zabiłeś go szpadlem!

Doszli do skraju wioski. Od równiny powiał suchy wiatr.

- To nie były czary - powiedział mnich, gdy stanęli - to moc.

- Ach - zakpiła - i to nie to samo?

- Nie. Moc pochodzi prosto od Boga.

- Prosto od Boga, mówisz - wiedźma spojrzała poza obszar wsi, na spękaną, rdzawą ziemię pokrytą z rzadka porozrzucanymi kamieniami. - I on każe ci zabijać? Tu nikt jeszcze nikogo nie zabił, od czasu, gdy istnieje ta wieś.

- Wiara pozwala na czerpanie z mocy Boga bez jego udziału. On wie, że jego służy postępują słusznie.

Kobieta westchnęła.

- I co ty tu słusznego czynisz?

- Przywracam naturalny porządek, a to - wskazał brodą wieś - go zakłóca. Początkowo myślałem, że ludzie są prawdziwi, a reszta to ułuda. Teraz, biorąc pod uwagę twoje zdolności, nie jestem pewien.

- Ludzi bym przecież nie stworzyła - ruszyła powoli wzdłuż granicy wsi - nikt nie ma takiej mocy.

Poszedł za nią.

- Ale iluzję ludzi mogłabyś. Może nawet taką, której nie mógłbym rozpoznać.

- No - przystanęła - mogłabym. Wiesz co - schyliła się i strzepnęła pyłek z sukni - przyjmijmy, że to zrobiłam. Że to wszystko jest nieprawdziwe, że to tylko sztuczka.

Ponownie weszli między ogrody. Powietrze złagodniało, wróciły kwiatowe wonie.

- Mów dalej. - Mnich schylił głowę, by nie zawadzić o gałąź obsypanego białymi kwiatkami migdałowca.

- Dalej to jest tak - zanurzyła na chwilę twarz w olbrzymim kwiecie hortensji i wciągnęła zapach - że co jakiś czas z pobliskiego miasteczka przyjeżdżają kupcy i wymieniają kwiaty za towary. Za żywność, piwo, odzież i inne takie. Na wszystko, czego wiosce potrzeba. I tak to się kręci.

- Rzeczywiście proste - też powąchał kwiat - tylko... wiesz co? Tutaj w okolicy nie ma żadnego miasteczka. To kamienie i pustynia, na sto mil dokoła prawie wszystko jest jałowe. To skąd oni przyjeżdżają, ci kupcy?

- Po prostu się zjawiają - skrzywiła twarz w uśmiechu - musisz być taki dociekliwy? Skoro to wszystko jest nieprawdziwe, to przecież nikomu nie dzieje się krzywda, prawda? A ty, zabijając Argelda, przysporzyłeś mi dodatkowej pracy. Sama będę musiała pilnować kwiatów.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Nie rozumiem - powiedział po jakimś czasie mnich - po co to wszystko? Sporo wędruję, różne rzeczy widziałem. Jedni chcieli robić złoto, innym imponowała władza. Kiedyś spotkałem maga, który obrócił ludzi w niewolników, żeby robić im różne rzeczy. Złe rzeczy. Nie ma już tego maga, a ci, co przeżyli, zapomnieli. Ale kwiaty? - Pokręcił głową.

Wzruszyła tylko ramionami i nie odpowiedziała.

Doszli znowu do końca wsi i przystanęli na jej skraju. Powietrze stało się suchsze i gorętsze. Ziemia pod ich stopami stwardniała. Za firanką maków znikwały ostatnie fioletowe dzwonki.

Mnich spojrzał w dal, na jałowy krajobraz.

- Posłuchaj - zaczął powoli, nie patrząc na wiedźmę - wczoraj jadłem prawdziwe mięso, piłem prawdziwe piwo. Spałem na normalnym, chociaż niezbyt wygodnym, łóżku. Nie wiem, co tu jest rzeczywiste, a co nie.

- I oczywiście musisz się dowiedzieć - przerwała mu.

Westchnął i skinął głową.

- Pomożesz mi w tym? - zapytał.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie mogę, naprawdę nie mogę.

Mnich powoli naciągnął na głowę kaptur. Ręce skrzyżował na piersiach i odwrócił się w jej stronę. Kobieta patrzyła na niego.

- Przypuszczam, że zamierzasz potraktować mnie jak Argelda? - powiedziała spokojnym głosem.
- Nie zostawiasz mi wyboru.

Silniejszy podmuch wiatru podniósł chmurkę pyłu, która przez chwilę wirowała, zanim bezsilnie opadła na granicy wsi. W tym momencie mnich uderzył. Zestalone nagle powietrze odbiło się od niewidzialnej tarczy i opadło kawałami lodu u stóp wiedźmy. Nie poruszyła się.

- Nie jestem Argeldem - powiedziała, a w czarnych studniach jej oczu zapaliły się żółte punkty. Mnich zatoczył się do tyłu. Ziemia wokół niego zaskwierczała czarnym kopciem.

- Nie chcę zabijać - wiedźma podeszła o krok - po prostu stąd odejdz.

Potrząsnął tylko głową, mocno wpierając stopy w ziemię. Przygiął się, po czym z nagłym wyprostem wyrzucił przed siebie słowo. Krótki ryk wiatru zagłuszył huk pioruna, który spłynął bezsilnie wokół jej postaci. Kobieta wyciągnęła przed siebie dłoń. Pod stopami mnicha ziemia wybuchła czarną fontanną. Opadł na kolana, a z nosa rzuciła mu się krew. Nie wstając, z wysiłkiem poruszył głowę. Ziemia przed nim pękła, szczelina popędziła w stronę wiedźmy. Żółte słońca w jej oczach błysnęły. Rozwierające się pęknięcie zmieniło kierunek i runęło poza wieś, gasnąc rozdartą raną daleko w pustyni.

Wiedźma podeszła do klęczącego.

- Odeślę cię stąd - powiedziała miękko - zapomnisz.

Nie odpowiedział; wsparty rękami o ziemię oddychał ciężko. Kobieta uniosła rękę i w tym momencie mnich, nie podnosząc głowy, uderzył. Błękitna iskra rozbiła się o niewidzialną przeszkodę, jednak zaskoczona wiedźma cofnęła się kilka kroków. Jej stopa stanęła poza granicą wyznaczoną przez kwietny łąk. Szarpnął głowę w górę i desperacko uderzył jeszcze raz. Kobieta zatoczyła się i cofnęła znowu. Teraz stała na jałowej ziemi, gdzie nie było już kwiatów. Mnich poderwał się i skoczył do przodu, odcinając jej drogę powrotu. Dyszał ciężko.

Wiedźma spróbowała zrobić krok w jego kierunku, ale niebieska iskra tym razem ją dosięgła. Twarz kobiety skurczyła się, pojawił się grymas bólu.

- Tak myślałem - wyrzucił z siebie - tu nie ma miejsca na twoje czary.

- Poczekaj - powiedziała szybko - to nie tak... ty nic nie rozumiesz.... - nowy grymas wykrzywił jej twarz, oczy zaczęły się zapadać, mówiła z coraz większym wysiłkiem. - Zabójca... kwiatów... - urwała, ogarnięta spazmem bólu.

Mnich przez chwilę patrzył na iskry gasnące w jej oczach, a potem ciało wiedźmy poderwało się do góry i wybuchło krwią. Ziemia zagotowała się, wchłaniając opadające szczątki. Potem zapadła cisza.

Zsunął z głowy kaptur i odetchnął głęboko.

*

Wieś nie wydawała się inna. Kwiaty nie straciły kolorów, nie zauważył przywiedłych liści. Lekki wietrzyk roznosił przemieszane ze sobą wonie kwiatów. Mnich niespiesznie szedł pomiędzy domostwami, odpowiadał na pozdrowienia mieszkańców, dla których najwyraźniej nic się nie zmieniło. Zatrzymywał się na pogawędki o kwiatkach, tu i ówdzie umówił się na wieczorne piwo.

Był mniej więcej w połowie drogi do gospody, gdy, przechodząc obok rozłożystego rododendrona mieniącego się czerwienią i fioletem, uderzył go niezwykle, jak na to miejsce, widok.

Średniego wzrostu mężczyzna z imponującą szopą jasnych włosów mozolił się w ogrodzie. Nie chodził między kwiatami, nie mówił do nich, ale – umorusany ziemią – klęczał, trzymając w ręku szpikulec do pikowania. Obok leżały nieduże grabki. Sam ogród, biorąc pod uwagę wioskowe standardy, wyglądał rozpaczliwie. Na kilku grządkach rosły kwiaty, niektóre krzywo posadzone. Krzewy okalające ogród miały zaledwie po kilka pąków. Obramowane kamyczkami rabaty świeciły pustkami.

- Dzień dobry – odezwał się mnich, podchodząc.

Mężczyzna spojrzał na niego, podrapał się po głowie i, zniechęcony, cisnął szpikulec na ziemię.

- Ano, jak widać. – Obejrzał się jeszcze na ogródek i splunął na ziemię. – Zaraz targ, a u mnie... Czym ja będę handlował?! – jęknął.

Mnich spojrzał na grządki.

- Całkiem ładne – zaryzykował kłamstwo – tylko słyszałem w gospodzie, że koło kwiatów trzeba pochodzić...

- A co ja robię!? – Tamten zerwał się z kolan i przyskoczył do mnicha. – Mało chodzę!?? Kopię, sadzę, i to na kolanach jeszcze! Tylko patrzeć, jak mi spuchną.

- Nie to miałem na myśli – wyjaśnił mnich – chodziło o takie zwyczajne chodzenie.

Mężczyzna znowu splunął.

- Tak to ja nie umiem – przyznał niechętnie. – Widzę, jak wszyscy robią, ślepy przecież nie jestem. Tylko że w moim ogródku się nie da. I koniec. Haruję całymi dniami... i co? Ano, gówno – odpowiedział sam sobie. – Taki kawałek ziemi mi się trafił – dodał z goryczą.

- A tak przy okazji – powiedział mnich – zdawało mi się, że znam już całą wieś, a tędy musiałem przechodzić. Głowę dałbym, że nie widziałem twojego domu.

- Mało to razy człowiek łązi zamyślony? – Wzruszył ramionami tamten. – I dopiero jak głowę w czyjaś chałupę łupnie...

- W gospodzie też nie widziałem.

- A mam ja czas – rozdarł się mężczyzna – po gospodach łązić?! Jak komu samo rośnie, to sobie może piwo żłopać! A jak ktoś nie dosyć, że na ostatnich nogach, to jeszcze czym ja mam się tam pochwalić? No, sam powiedz! – Pogardliwym wzrokiem obrzucił ogródek.

Mnich też spojrzał i tym razem kłamstwo nie przeszło mu przez usta.

- Może dzisiaj zajrzę – powiedział tamten już spokojniej – może się jakoś ugadam... Zaraz targ! – Chwycił się za głowę.

Nie zwracając więcej uwagi na mnicha, podszedł do porzuconego szpikulca, podniósł go i sapiąc, zaczął robić następny dołek.

Był już wieczór, gdy mnich, przepawszy cały dzień, zszedł do gospody. Sala nabitą była ludźmi, brzęczało jak w ulu. Mnich z trudem znalazł wolne miejsce i siedział, czekając na karczmarza. Ten dwoił się i troił, roznosząc wraz z małżonką kufle z piwem. Do uszu mnicha dobiegały strzępy rozmów.

-donic trzeba dokupić...

- ... jak dobrze astry pójdą, to zrobimy jeszcze rabatkę przy samej drodze...

- ... a ja ci mówię, że niebieskie są najlepsze! Z żółtymi poczekajmy...

- ... za mało bratków! A uprzedzałem...

Gospodarz z hukiem postawił przed nim solidną miskę i kufel piwa.

- Mam nadzieję, że za te irysy to ze trzy beczułki dostanę! - powiedział. - A może cztery?

- Beczułki? - zapytał mnich, przysuwając bliżej miskę.

- Yhym - pokiwał głową karczmarz - piwa musi do następnego targu wystarczyć.

Ktoś zawołał z drugiego końca sali, przywołując go do siebie.

- Idę już, idę - odkrzyknął - jakby co, to wołać - powiedział jeszcze do mnicha - bo dzisiaj...

- Wiem, ruch taki.

- Ano, właśnie - kiwnął głową gospodarz i oddalił się.

Mnich zjadł, wypił piwo i zamówił następne. Popijał powoli, zatopiony w myślach.

- Zabójca Kwiatów! - rozległ się nagle krzyk i zaraz potem gromki śmiech. Podniósł głowę - wszyscy się śmiali. Przeniósł wzrok na drzwi. Stał w nich spotkany dziś jasnowłosy mężczyzna, właściciel mizernego ogródka. Bluzę i spodnie miał przybrudzone ziemią.

- Jak tam twoje kwiaty, Zabójco? - krzyknął ktoś od stołu i zewsząd huknął śmiech.

Mężczyzna, uśmiechając się, podszedł do jednego ze stołów i przysiadł. Od razu otoczyli go mieszkańcy. Cisnęli się wokół niego z kuflami w dłoniach, poklepywali po plecach.

Mnich wstał i podszedł do karczmarza.

- Dlaczego nazywają go Zabójcą Kwiatów? - zapytał cicho.

- Co? - Gospodarz przerwał nalewanie piwa - A, jego! No przecież starczy na jego ogród spojrzeć!

- Dziwne, że przedtem się na niego nie natknąłem. - Zmarszczył czoło mnich.

Karczmarz wzruszył ramionami.

- Może i dziwne, ale trudno przeoczyć. Toż to taka nędza, że od razu w oczy się rzuca! - roześmiał się.

Mnich pokiwał głową. Wziął świeże piwo i zbliżył się stołu, przy którym siedział mężczyzna nazwany Zabójcą Kwiatów.

- Nie przejmuj się - kobieta o ładnej twarzy trąciła się z nim kuflem - ode mnie dostaniesz nasturcję. Trochę za dużo mi wyszło, nie potrzebuję tyle.

- Dziękuję - Zabójca Kwiatów upił łyk - jesteś dobrą kobietą.

- A pewnie - parsknęła śmiechem.

- Śliczne storczyki chcę dać na targ. - Mężczyzna o posturze niedźwiedzia huknął go w plecy. - Wystarczy i dla ciebie!

Zabójca Kwiatów zakrztusił się piwem. Kiedy się wykaszlał, odwrócił się do mężczyzny i podziękował.

Mnich przyglądał się jakiś czas. Mieszkańcy żartowali i przekomarzali się wesoło.

- Oj, kiedy ty nauczysz się z kwiatami ... - rzucił jeden.

- Jak znajdę czas, to wpadnę i zobaczę, co da się zrobić z twoim ogrodem - obiecał drugi.

- Nie zostaniesz z pustymi rękoma - dodała inna kobieta - ale do roboty mógłbyś się wziąć. - Pokiwała głową.

Wszyscy się roześmieli. Zabójca Kwiatów uśmiechał się, dziękował dokoła, dowcipkował i żartował ze wszystkimi.

- Pójdę na górę. - Mnich postawił kufel na ladzie. - I chyba jutro was opuszczę.

- A targ? - zdziwił się karczmarz - na targu nie zostanieiecie?

Pokręcił przecząco głową.

- Raczej nie. Dobranoc.

*

Nie położył się spać. Przesiedział noc przy oknie, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo i wdychając zapachy nemezji i maciejki. Dopiero tuż przed świtem się ruszył. Klęknął przy łóżku i zmówił pacierz. Potem wyszedł. Wszyscy jeszcze spali, a tarcza słońca dopiero zaczynała wyłaniać się zza horyzontu. Wiatru nie było, a brak chmur zapowiadał następny piękny dzień.

Mnich bez pośpiechu przeszedł przez wioskę. Stanął na skraju wsi i popatrzył na niewielkie wzgórze, z którego tak niedawno obserwował wieś. Jeszcze tylko obejrzał się na ukwiecone ogrody, po czym ruszył przed siebie.

Szedł, schylając się co parę kroków. Dotykał palcami ziemi, czasami rozkruszał bryłkę w dłoni i ruszał dalej, aż w końcu stanął pod wzgórzem.

Wchodził powoli, nie spiesząc się. Uważnie przyglądał się rzadkiej trawie rosnącej pomiędzy kamieniami. Tuż pod szczytem zerwał pojedyncze źdźbło i przyjrzał mu się. Roztarł je między palcami, powąchał i pokiwał głową z wyraźnym zadowoleniem.

- Trawa - mruknął - zwykła trawa. Skończyły się sztuczki.

Na szczycie wzgórza, na kamieniu, siedziała postać odwrócona do niego plecami.

- Czekaleś na mnie – spokojnie powiedział mnich, podchodząc do siedzącego.
- Czekałem – potwierdził Zabójca Kwiatów, przenosząc na niego spojrzenie. – Piękny stąd widok, nie uważasz? Cała wioska jak na dłoni.

Mnich obrócił głowę i spojrzał.

- Rzeczywiście piękny.
- Usiądziesz? – Zabójca Kwiatów przesunął się odrobinę na kamieniu, robiąc miejsce.
- Postoję, tak lepiej widać. Poza tym nasze spotkanie chyba nie potrwa długo. Nie warto siadać.
- Jak chcesz. – Wzruszył ramionami Zabójca Kwiatów. – Musiałeś ich zabijać?
- Tego nieszczęsnego czarownika i wiedźmę? – Mnich oderwał wzrok od wioski i spojrzał na Zabójcę Kwiatów – Gdybym tego nie zrobił, nie znalazłbym ciebie. Dobrze się ukryłeś.
- Nigdzie się nie ukrywałem, wszyscy mnie znają.

Mnich wzruszył ramionami i ponownie popatrzał na wioskę.

- Ja cię nie dostrzegałem, dopóki tamci żyli. Sprytna zasłona.
- Niewystarczająca, jak się okazuje. – Zabójca Kwiatów pochylił się, zerwał źdźbło trawy i wetknął między zęby. – Chociaż dotychczas działała.
- Zawsze jest pierwszy raz – odchrząknął mnich. – No, a potem zobaczyłem ciebie jak na dłoni. Jedyne, na którego nie działał własny czar. Nie wychodziły ci te kwiaty.
- To nie czar. – Zabójca Kwiatów wyjął na chwilę trawkę z ust. – A hodowla kwiatów faktycznie nie najlepiej mi wychodzi. Gorzej niż tobie zabijanie ludzi.
- Śmierć to mało za coś takiego.
- O? – Zabójca Kwiatów uniósł nieco brwi. – A czemuż to?

- Bo to nie iluzja. Ta wioska istnieje naprawdę, chociaż nie powinna. Jest absolutnie realna. Na pustynnej, jałowej ziemi jest zatrzesienie kwiatów. Wieś zamieszkała przez ludzi, którzy nie mają pojęcia, jak wygląda świat. Nie mających innych zainteresowań.

- A co w tym złego? – zdziwił się Zabójca Kwiatów. – Ja też lubię kwiaty.

- No właśnie – głos mnicha stwardniał – ty je lubisz. Stworzyłeś sobie wioskę, stworzyłeś mieszkańców. Zbudowałeś namiastkę raj. To wszystko jest realne, ale przeciwne naturze.

- Co ty tak z tą naturą? Naturalne jest to, co istnieje.

- Nie zawsze. Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale stwarzać ludzi nie wolno. Nawet takich... – mnich zawiesił głos.

- Zapewniam cię – powiedział Zabójca Kwiatów – że to prawdziwi ludzie. Najprawdziwsi na świecie. Jak ty. A co do zainteresowań – wzruszył ramionami – to dosyć dziwne kryterium oceny. Znam takich, co się na przykład tylko ślimakami interesują, a nikt im braku człowieczeństwa nie zarzuca.

Mnich roześmiał się.

- Tak - powiedział - są i tacy. Ale ci nimi nie są.

- Ależ są. Mają ciała, uczucia, dusze i wszystko, co trzeba, żeby być człowiekiem.

Mnich popatrzał na niego uważnie.

- Jeśli mają dusze - w co jednak wątpię, bo takiej mocy mieć nie możesz - to skazałbyś ich na wieczne potępienie. Żyją tu, nie znając Boga!

- Tego bym nie powiedział. - Zabójca Kwiatów skrzywił się i wypluł na ziemię przeżutą trawkę. - Więc nie przekonam cię, żebyś sobie po prostu poszedł i zapomniał o wszystkim?

- Wszyscy mi tak radzą - pokręcił głową mnich - a to jedyna rzecz, której nie mogę zrobić. Ta wioska musi zniknąć. Trzeba naprawić uczynione zło.

- Niszcząc?

Mnich niespiesznym ruchem naciągnął kaptur na głowę - Przywracając porządek. Moglibyśmy zapewne długo tak dyskutować, i nie wątpię, że byłaby to dyskusja ciekawa, ale po pierwsze, nie masz racji, a po drugie, mój czas upływa. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz?

Zabójca Kwiatów skinął głową.

- Więc nie przedłużajmy tego. - Mnich wyprostował się i skrzyżował ręce na piersiach. - Zaczynamy!

- Czasami - powiedział w zadumie Zabójca Kwiatów, nie patrząc na mnicha, który zaczął umierać - czynienie dobra nie na dobre wychodzi. Nawet jeśli - musnął przelotnie spojrzeniem dygocącą postać ze ściągniętą w bolesnym skurczu twarzą - działa się ze słusznych pobudek.

Odwrócił wzrok i spojrzał ponownie na równinę. Chrapliwy oddech wydobywał się spomiędzy zaciśniętych zębów mnicha. Przyciskając kurczowo ręce do piersi, runął skulony na bok, kaptur zsunął się z jego głowy. Twarz leżącego pokryły wielkie krople potu.

- Nie wygrasz - zaświszczał z trudem - nawet jeśli ja umrę... nawet jeśli inni, co po mnie nadejdą...

Siedzący spokojnie Zabójca Kwiatów nie odwrócił głowy.

- Wygram - stwierdził beznamiętnie. - Nawet jeśli nadejdą inni.

Miotany drgawkami, skulony na ziemi mnich wbił gasnące oczy w plecy Zabójcy Kwiatów.

- Mój Bóg - w kącikach ust pojawiła się krew - jedyny... stwórcy świata... wieczny...

Zabójca Kwiatów podniósł się powoli i stanął nad umierającym.

- Nie masz racji - powiedział - moje dzieło mnie przetrwa. Kiedyś świat będzie istniał, a ja już nie. Widzisz - kontynuował - ja też potrzebuję miejsca, gdzie mogę odpocząć. I nie chcę, aby ktokolwiek je niszczył, nawet jeśli działa w imię moje.

Wyciągnął rękę nad zapadniętym, nie przypominającym już człowieka kształtem.

- Odejdź - powiedział cicho - odejdź na zawsze.

Kiedy schodził po zboczu, we wsi mieszkańcy krzatali się i biegali, zaaferowani przygotowaniami do targu. W powietrzu unosił się ciężki zapach kwiatów. Na szczycie wzgórza wiatr rozwiewał kupkę pyłu.

A. Kosel

N., kwiecień 2014r.